

Rozmowa z prof. Zenonem Urygą

Sylwia Kondek, Marta Plak: Nieprzerwanie od końca lat siedemdziesiątych w rozważaniach naukowych koncentruje Pan Profesor uwagę na uczniu jako podmiocie procesu nauczania-uczenia się. Od wydania w roku 1996 *Godzin polskiego*, w których pisze Pan o potrzebie wartości i sensie uznania „podmiotowości ucznia w procesie poznawania literatury”, mija 20 lat. Jaki – według Pana Profesora – był uczeń XX, a jaki jest uczeń XXI w.?

Prof. Zenon Uryga: To bardzo trudne pytanie. Mam większą wiedzę na temat ucznia XX w. Czerpałem ją m.in. z prac socjologicznych autorstwa Anny Świdy. Młodzież w ubiegłym stuleciu skoncentrowana była raczej na kwestiach merytorycznych dotyczących spraw literatury, teorii literatury, miała także ogólną wiedzę o świecie. Mam wrażenie, że od tamtego czasu wiele się zmieniło. Młodzi ludzie poddani są presji kultury internetowej. Ich życie podporządkowało się przepływowi informacji. Nie skupiają się na istocie rzeczy. Zanadto wierzy się w to, że informacja jest najważniejsza, że przychodzi do nas sama, a brakuje dążenia do zdobywania wiadomości z własnej woli, podejmując trud, który wyda oczekiwane owoce. Obawiam się, że obecnie młodym ludziom brakuje sytuacji sprzyjających temu, by spojrzeć w głąb siebie.

W jaki sposób wiedza na temat ucznia, a także świadomość różnic pomiędzy uczniem XX i XXI w. powinny wpływać na formułowanie celów kształcenia oraz planowanie sytuacji lekcyjnych przez nauczycieli?

Niedawno w Akademii Umiejętności toczyła się rozmowa na temat podręczników szkolnych. Postawiłem wówczas tezę, że podręcznik powinien prowadzić człowieka w głąb, ułatwiać zrozumienie samego siebie. Takie tendencje dominują dziś w dydaktyce (ich przedstawicielką jest np. prof. Barbara Myrdzik). Trzeba podejmować starania, by zrozumieć siebie i świat. W pewnym momencie dyskusji głos zabrał oponent, który przekonywał, że młodzież funkcjonuje dziś w innym świecie, nastawiona jest na dźwięk i obraz, a zatem nauczanie powinno iść w kierunku, który uwzględni tę cywilizacyjną presję. Ja się z tym nie zgadzam. Uważam, że nie o to chodzi. Idzie raczej o to, by pokazać, jak przechodzić od obrazu do rozumienia czegoś: siebie, świata, do tego, co odsyła poza sam obraz. Upajanie się świadomością, że mamy setki obrazów wokół siebie, do niczego nie prowadzi. Nie powinno się szerzyć kultury oglądania, lecz raczej sprawiać, by od oglądania przechodzić do

rozumienia, np. rozumienia wartości słowa. W przypadku polonisty jest to niezwykle istotne. Trzeba wiedzieć, jakie wartości kryją się za słowem. Należy pogłębiać refleksję: nad sobą, nad światem, nad zjawiskami nas otaczającymi, nad słowem, nad sposobami wyrażania siebie. Jest to skrótowe ujęcie zagadnienia, o którym można oczywiście mówić szerzej.

Spotkanie, na które Pan Profesor przyjął zaproszenie, odbywa się w ramach cyklu zatytułowanego „Poloniści wspominają”. Powspominajmy zatem. Co skłoniło Pana Profesora do wybrania studiów polonistycznych?

Przyznam się, że nie bardzo wiem (*śmiech*). W gimnazjum pasjonowałem się raczej matematyką. Zresztą przeszedłem z gimnazjum wiejskiego (samorządowego, koedukacyjnego) do gimnazjum męskiego w Nowym Sączu. To była szkoła o profilu matematyczno-fizycznym. Później jednak zacząłem wiele czytać, także poezji. Być może dlatego, że był to czas pierwszych miłości w moim życiu. Kiedy miałem zdecydować, jaki wybrać kierunek studiów, padło na polonistykę. Nie podjąłem nauki na Uniwersytecie Jagiellońskim, lecz w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Egzaminował mnie prof. Wincenty Danek. Na egzaminie wstępnym padło jedno pytanie: „Kim była Olga Lepieżyńska?” Była to badaczka radziecka, która zajmowała się genetyką. Znałem odpowiedź, zatem zostałem przyjęty na studia. Dopiero później uświadomiłem sobie, że sposób mówienia o świecie, o ludziach bardzo mnie interesuje i wciąga.

Gdyby miał Pan jeszcze raz dokonać wyboru, wybrałby Pan ten sam kierunek studiów?

Wybór byłby trudny, ale myślę, że wybrałbym to samo. Refleksje o człowieku, o świecie nieustannie mnie interesują. Trochę jednak przeszkadzałoby mi cybernetyczne nastawienie na wiedzę. Wolałbym raczej usiąść nad książką i samodzielnie szukać informacji (co jest dla polonisty kluczowe). Najważniejszy jest kontakt z tekstem – trzeba pochylić się nad nim i próbować go zrozumieć. Wbrew pozorom nie jest to takie proste, o czym sami wiecie.

Jak wyglądało życie studenckie w czasach Pana młodości? Jak studenci spędzali czas wolny, gdzie się spotykali, w jaką działalność angażowali?

Od czego by tu zacząć... Nasza uczelnia była wtedy niewielką szkołą, powstałą w 1946 r. Miała trzy wydziały: filologiczno-historyczny, geograficzno-biologiczny oraz matematyczno-fizyczny. Na każdym roku było najwyżej 50 studentów, a więc we wszystkich trzech rocznikach – nie więcej niż tysiąc. Wszyscy się bardzo dobrze znali, spotykaliśmy się wieczorami na potańcówkach. To były spotkania, gdzie się śpiewało piosenki rosyjskie, rzadziej polskie. Relacje, które wytworzyły się między nami, zasługują na szczególną uwagę.

Pamiętam, że kiedyś zobowiązano nas do zrobienia gazetki ściennej, na której miały widnieć „socjalistyczne” hasła zachęcające studentów do nauki i pracy. Zrobiliśmy z kolegami tytuł gazetki, ale w pewnym momencie jeden z nich, który palił papierosa, wypalił w gazetce dziurę. Spanikowaliśmy. Po co od nowa wykonywać tę samą pracę? Pomyślałem wtedy, że może dobrze by było napisać: „Tu wpadł Edek Iskra” (nazwisko jednego z kolegów). I tak nasza gazetka zmieniła swój profil, zamiast gazetki „ideologicznej” zrobiliśmy materiał o nas samych, o naszym roku. Robiliśmy także teatr lalkowy. Wystawialiśmy np. bajkę *O rybaku i złotej rybce*, a po niej *Krótką rozprawę* Mikołaja Reja. Występowaliśmy z bajką na Uczelni i poza nią. Przygotowywaliśmy scenariusz, lalki, dekoracje. W ten sposób wykraczaliśmy poza obowiązki „ideologiczne”. Bawiłem się wtedy także w balet. Byłem uczestnikiem zespołu, który przedstawiał tańce żaków krakowskich. Próbowaliśmy to nasze życie jakoś organizować, co nie było wcale proste. Zmuszano nas do uczestnictwa w pochodach (np. pierwszomajowych), na których sprawdzano obecność. Przy okazji obecności – wiecie, co to była lekka kawaleria? Otóż były to zorganizowane grupki działaczy, które pojawiały się niezapowiedziane na wykładach lub ćwiczeniach i sprawdzały, czy wszyscy są obecni na zajęciach. Czuliśmy się osaczani we wszelkich przejawach indywidualnego życia. Nasza grupa studencka pomimo tych niedogodności potrafiła jednak wytworzyć głębszą więź. Pięćdziesiąt lat po ukończeniu studiów, w 2004 r., zorganizowaliśmy zjazd. Poza osobami, które już nie żyły, większość przybyła. Zjazd pomógł zorganizować nasz były starosta. On cały czas pamięta, kto gdzie pracuje, kto umarł, jak się wiedzie poszczególnym osobom. To niespotykane, on przez cały czas czuje konieczność pełnienia swojej funkcji.

Wiemy, że pracował Pan jako nauczyciel w Państwowym Ośrodku Wychowawczym dla dzieci koreańskich w Szklarskiej Porębie (1954–1957). Dziś nauczanie języka polskiego jako obcego lub drugiego stało się bardzo modnym i potrzebnym kierunkiem studiów. Domyślamy się jednak, że podczas ówczesnych studiów nie pojawiły się przedmioty, które wyposażyłyby Pana w wiedzę i umiejętności pracy z obcokrajowcami. Jak zatem Pan sobie radził z tym zadaniem, jakich metod i strategii używał? Jak wspomina Pan pracę z dziećmi koreańskimi?

Najpierw pracowałem, ale tylko przez rok, z Koreańczykami, a potem w Państwowym Liceum Pedagogicznym w Lubomierzu. Tak naprawdę podczas pracy z dziećmi koreańskimi uczyłem się dopiero, jak uczyć. Moi uczniowie byli w wieku 6–14 lat. Pełniłem raczej funkcję wychowawcy niż nauczyciela. Uczyłem ich różnych przedmiotów: matematyki, geografii, języka polskiego. Uczyłem ich mówić i pisać. Nauka mówienia była bezpośrednia (powtarzali

za mną: „Co to jest? To jest nos”). W ten sposób bawiliśmy się i uczyliśmy języka. Nauka języka polskiego była konieczna do tego, by te dzieci w przyszłości mogły podjąć dalszą edukację. Uczyliśmy ich też innego stylu życia. Młodzi Koreańczycy chodzili np. w zwartym szyku (jak w wojsku). Dopiero my zaczęliśmy ich nieco „rozpuszczać”, by stali się mniej „militarni”, a bardziej ludzcy. Bardzo interesowało mnie, jak potoczyły się ich losy, kiedy powyjeżdżali z Polski.

Temat Pańskiej rozprawy doktorskiej dotyczył twórczości Antoniego Sygietyńskiego. Dlaczego wybrał Pan tego autora? Jak przebiegała praca nad doktoratem?

Wiązało się to z tym, że uzyskałem zgodę prof. Danka na rozpoczęcie studiów drugiego stopnia. Przyjęto mnie po trzech latach pracy. Mogłem nadal pracować w Liceum Pedagogicznym, ale chciałem studiować dalej. Rektor mnie przygarnął, dał mi stypendium. Znalazłem się na seminarium prof. Jana Nowakowskiego, którego bardzo ceniłem. Oprócz niego miałem okazję zetknąć się z innymi znakomitościami, m.in. z profesorami Tadeuszem Malawskim, Stanisławem Jodłowskim czy też ze świetnym wykładowcą marskizmu, a potem dysydem, prof. Stefanem Morawskim. Profesor Nowakowski potrafił mówić o czasie po cesarstwie napoleońskim w taki sposób, jakby mówił o tym, co nas właśnie otacza. Dawał nam do zrozumienia, w jaki sposób można patrzeć na naszą rzeczywistość. Bardzo się cieszyłem, że trafiłem na seminarium właśnie do niego. Ponieważ wydał wówczas książkę o twórczości Emila Zoli, zaproponował mi temat pracy „Spór o naturalizm w malarstwie i literaturze”. Zagłębiłem się w ten temat, zacząłem czytać książki Antoniego Sygietyńskiego i Stanisława Witkiewicza. Postanowiłem zająć się bliżej sylwetką Antoniego Sygietyńskiego jako pisarza oraz krytyka artystycznego. Moja późniejsza praca doktorska dotyczyła tego, jak wyglądała jego twórczość literacka na tle działalności publicystycznej i krytycznej. Pisał on bowiem bardzo dużo. Zapoznałem się z jego twórczością; nie wszystkie utwory tego pisarza były wysokiego lotu, ale np. *Na skałach Calvados* oraz *Wysadzony z siodła* bardzo mnie zainteresowały.

Później nastąpiła zmiana planów. Kiedy pisałem tę pracę, wykłady z metodyki prowadził prof. Władysław Szyszkowski. Dostał docenturę, otwarło mu to drogę do tego, by stworzyć Zakład, a następnie Katedrę Metodyki Nauczania Języka Polskiego. Ponieważ miałem już doświadczenie nauczycielskie, zostałem pracownikiem owej katedry. Coś już wiedziałem na temat dydaktyki i od tego czasu zaczęło się moje zainteresowanie tą dziedziną. Już podczas pracy w liceum byłem związany z PODKO (Powiatowym Zakładem Doskonalenia Kadr Oświatowych) w Lwówku Śląskim. Przejąłem kierownictwo owej sekcji, jeździłem po

szkołach, przyglądałem się pracy nauczycieli (często stawałem wobec konieczności oceniania nauczycieli o wiele starszych ode mnie). Odbywałem także podróże naukowe do Wrocławia, gdzie miałem okazję wysłuchać wykładów na temat dydaktyki. Wtedy również pojawiła się książka *Ćwiczenia w mówieniu i pisaniu* Karoliny Pojawskiej, która pokazała, że można mówić o nauczaniu od strony praktycznej. Profesor Szyszkowski wiedział zatem, że mam już pewną wiedzę i doświadczenie, i mnie zatrudnił. Po jakimś czasie dołączył do nas Zenon Jagoda i ustaliliśmy, że należy zebrać materiał, ustalić, co do tej pory pisano na temat dydaktyki. Przygotowaliśmy *Bibliografię metodyki nauczania języka polskiego* (za lata 1918–1939). Zajęło się tym trzech panów „J”: Jarowiecki, Jagoda i ja (*śmiech*). Publikacja ta ukazała się pod redakcją prof. Szyszkowskiego, który czuwał nad przebiegiem pracy. Spotykaliśmy się co tydzień, w soboty, i debatowaliśmy nad tematami. Tak to się zaczęło. Tak rozwijało się myślenie, mające na celu odpowiedź na pytanie, jak uczyć. W rezultacie wydałem swoje dwie książki, czyli: *Godziny polskiego* oraz *Odbiór liryki w klasach maturalnych*, później natomiast rozmaite artykuły, zróżnicowane pod względem tematycznym.

Chciałyśmy prosić Pana Profesora o przybliżenie historii naszej katedry dydaktyki.

Na początku było nas trzech (obok profesora i mnie wówczas jeszcze magister, ale niebawem profesor, Jan Kulpa), później zaczęło się stopniowo gromadzić coraz więcej osób, w pewnym momencie katedra liczyła ponad 20 osób, w tym wybitni dydaktycy: Anna Dyduchowa, Jan Polakowski, Maria Jędrychowska. Wtedy zaczęła się prawdziwa praca naukowa, dbaliśmy o rozwój, bo kiedy zejdzie się kilkadziesiąt osób, to nie wypada nic nie robić. Działaliśmy zatem, była między nami rywalizacja: kto co zrobi, czyja książka będzie dobra. Organizowaliśmy sporo rozmaitych konferencji, w tym Jesienną Szkołę Dydaktyków, wzorowaną na konferencjach teoretycznoliterackich prowadzonych przez Michała Głowińskiego i Janusza Sławińskiego. Na Jesienną Szkołę przyjeżdżało wiele osób z różnych ośrodków krajowych i zagranicznych, a po niej zawsze powstawały pokonferencyjne zbiory artykułów. Ta praca wciągała nas, tak jest zawsze z pracą naukową – wciąga, każe myśleć, szukać współpracowników, rozciągać wokół siebie sieć zależności, informacji. Z tego buduje się coś, co ma określoną wartość, do czego chce się wracać. Jest jeszcze jedna ważna kwestia – pragnęliśmy, żeby Katedra Dydaktyki stanowiła trzon Instytutu Filologii Polskiej i żeby zacierala widoczne rozejście się literaturoznawstwa i językoznawstwa. Chcieliśmy, aby istniało powiązanie między tymi dyscyplinami właśnie na gruncie kształcenia dydaktycznego polonistów, aby przyszły nauczyciel znał jedną i drugą dyscyplinę i potrafił wiązać swoją

wiedzę w jedną całość. Jako metodycy odwiedzaliśmy ze studentami różne szkoły, widzieliśmy, w jaki sposób pracują nauczyciele. Studenci odbywali jedną, drugą, trzecią praktykę, wychodzili z Uczelni z pewną wiedzą o szkole. Kiedy sam studiowałem, poza wykładami prof. Szyszkowskiego nie mieliśmy żadnej okazji do zgłębiania wiedzy metodycznej. Teraz zaś student z praktyk w szkole wynosi określoną wiedzę. My w Katedrze chcieliśmy podpowiadać literaturoznawcom i językoznawcom, jakie kwestie z obszaru wiedzy dyscyplinarnej są szczególnie ważne z punktu widzenia szkoły. W tym sensie widzieliśmy w dydaktyce pewnego rodzaju zwornik dla polonistyki, która kształci nauczyciela świadomie, dostarcza mu wiedzy szerokiej, specjalistycznej, odpowiednio jednak sprofilowanej – jako polonistę, który będzie później uczył. Mówię to także z własnego doświadczenia – poszedłem do pracy po studiach jako człowiek niby wykształcony, ale tak naprawdę o szkole wiedziałem niewiele, uczyłem się dopiero w praktyce. Pamiętam, jak kiedyś pojechałem na praktykę do naszych studentów, chyba do Jędrzejowa, i widziałem, jak tamtejsza profesorka prowadziła lekcję. Zadała kilka pytań problemowych i nic więcej, czasem gestem czy mimiką wyrażała swoją opinię o wypowiedziach uczniów, ale przede wszystkim dawała im szansę samodzielnej wypowiedzi. Przez kilka minut toczyła się rozmowa uczniów na sformułowany temat, potem nauczycielka zamykała dyskusję. To bardzo piękna metoda. Profesor Szyszkowski też ją stosował. Najważniejsze jest, aby zająć odpowiednie stanowisko wobec młodzieży, nie narzucać im niczego, ale sondować ich opinie, starając się uchwycić spojrzenie młodzieży. Praktyka bardzo wiele uczy.

Chciałybyśmy zapytać jeszcze o funkcję rektora, którą pełnił Pan Profesor. Jak Pan wspomina te czasy, jakie zmiany udało się wtedy wprowadzić na Uczelni?

Stanowisko zarówno prorektora, jak i rektora przyszło mi piastować w czasach przełomowych. Prorektorem byłem w latach 1981–1984, to był okres zrywu „Solidarności”, rozmaitych ruchów studenckich, bardzo trudny. Na Uczelni odbywały się strajki, studenci przerwali zajęcia. My, prorektorzy, zastanawialiśmy się, co zrobić, żeby ich zmobilizować do pracy. Kiedyś usiedliśmy u mnie w gabinecie prorektorskim wraz z przedstawicielami organizacji studenckich i zastanawialiśmy się, jak ten strajk przekształcić w strajk samokształceniowy, żeby każdy coś robił, ale równocześnie strajkował. Wypracowaliśmy podczas tej narady pewien dokument, skończyliśmy około północy. Poszedłem spać zmęczony, a tu rano budzi mnie historyk Henryk Kotarski i mówi: „Wprowadzono stan wojenny, chodź, bo jesteś potrzebny, żeby poradzić studentom, co mają robić”. Studenci

musieli wtedy zwinąć to, co ze sobą mieli: namioty i inne rozmaite rzeczy, wsiedli do ciężarówek i pojechali do huty pod opiekę robotników. Po dwóch dniach, za namową tych drugich, rozeszli się do domów, zostawili jednak w hucie swoje rzeczy, m.in. namioty z jakiejś wypożyczalni. Milicja te rzeczy zabrała, rozpoczęło się śledztwo, wytoczono studentom proces, bo rzeczy zostały wypożyczone, a nieoddane. Musiałem wtedy udać się na ul. Mogiłską i tam jako świadek tłumaczyć, że to nie była kradzież. Sprawa długo się toczyła, ale przy pomocy mecenasa Rozmarynowicza wybroniłiśmy naszych studentów. Później pełniłem funkcję rektora. To były lata dziewięćdziesiąty, rząd Tadeusza Mazowieckiego, wszystko organizowało się od nowa, trzeba było sformułować statut dla Uczelni, która miałaby być autonomiczna, a równocześnie niezdominowana przez inne uniwersytety. Zajmowałem się różnymi działaniami, które miały utrzymać Uczelnię w należytym porządku. Trzeba było cały czas myśleć o tym, czym ta Uczelnia ma być. Co z tych lat zostało? Być może msza przed inauguracją roku akademickiego. Funkcja rektora to była żmudna praca, trzeba było Uczelnię trochę inaczej ustawić, istotna była sprawa dogadania się ze związkami zawodowymi.

O jednej rzeczy nie powiedziałem: ta Uczelnia rozwijała się przez lata dzięki różnym dawnym sławom profesorskim. Jeżeli na początku do prof. Danki można było mieć różne pretensje ideowe, to w sumie okazał się on mężem opatrnościowym dla Uczelni. Myślał, jak ją utrzymać na powierzchni, bo nieraz groziło jej rozbitcie, unicestwienie, a on dążył różnymi sposobami do tego, aby żyła. Miał jedną genialną myśl, że musi ona przede wszystkim stawiać na poziom naukowy i w związku z tym gromadził ludzi, którzy mieli coś ciekawego do powiedzenia, byli dobrymi naukowcami. I rozpoczęło się tworzenie placówki pedagogicznej, która stawiała na rzetelną wiedzę (literaturoznawczą i językoznawczą), a także dydaktyczną. Na przykład profesor Szyszkowski był przed wojną instruktorem ministerialnym języka polskiego, razem z Juliuszem Salonim i innymi wydawał „Polonistykę”. To byli ludzie znani, tacy, którzy gwarantowali wysoki poziom nauczania. Nam zależało na tym, aby nasza Uczelnia wyróżniała się pod tym względem. Ja na przykład broniłem tego, żeby to była Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Akademia Pedagogiczna, a jeżeli już uniwersytet, to Uniwersytet Pedagogiczny, nietuzinkowy, taki, który łączy w sobie wysoki poziom wiedzy i to, co jest głównym nurtem nauki pedagogicznej, dydaktycznej.

Pan Profesor sygnalizował już tę kwestię kilkakrotnie w swoich wcześniejszych wypowiedziach, ale chciałabym, żeby to zabrzmiało jeszcze raz. Wielokrotnie podejmował Pan tematykę kształcenia nauczycieli polonistów. Jaki według Pana

powinien być nauczyciel polonista? Jakie powinien mieć cechy? Czy każdy może nim zostać?

Żebym to ja wiedział... Nauczyciel przede wszystkim powinien rozglądać się wokół siebie, wiedzieć coś więcej ponad to, co wynika z jego wąskiej dyscypliny, wiedzieć coś na temat świata, do którego ma wprowadzić ucznia, musi mu dawać podstawę do tego, by umiał się po tym świecie rozglądać. Nauczyciel języka polskiego musi mieć nie tylko wiedzę polonistyczną – literaturoznawczą i językoznawczą – ale powinien np. znać socjologię, a także rozmaite problemy związane z psychologią młodzieży. Zależy to zresztą od tego, na jakim szczeblu edukacji będzie się sytuował. Dlatego czasem myślałem o tym, czy studia polonistyczne nauczycielskie powinny tak samo wyglądać dla tych, którzy będą uczyć w liceum, jak i dla tych, którzy znajdą się w szkole podstawowej. Przecież to nie to samo, to zupełnie inna formacja. Jaki powinien być nauczyciel? To trudne pytanie. Kim innym powinien być nauczyciel w liceum, musi być inaczej zorientowany, inaczej wykształcony, w innym kierunku rozwijać się intelektualnie niż nauczyciel w szkole podstawowej. Powinien jednak być to zawsze człowiek wychowujący. Wracam do jednego wspomnienia, obrazu koreańskich dzieci, które się wokół mnie skupiły – one czegoś potrzebowały. Uczniowie tak samo potrzebują czegoś od nauczyciela – żeby ich przygarnęła, żeby ich po prostu lubił, ale też ich rozumiał, widział, w jakim żyją środowisko, jakie mieli rozmaite oddziaływania, i aby na tym budował swój stosunek do uczniów. Stosunek zawsze przyjazny... I żeby dodatkowo swoich uczniów nie nudził (*śmiech*).

Pytanie od publiczności: jak Pan Profesor wspomina pracę ze studentami?

Zdaje się, że mówiono o mnie „Krwawy Zenon”, tak przynajmniej kiedyś słyszałem... Uważałem, że studentowi należy się na koniec studiów porządny egzamin. Nie egzamin pisemny czy test, ale rozmowa na temat nauczania. Student losował sobie pytanie; na co padło, o tym rozmawialiśmy. Sądzę, że czasem były to trudne egzaminy dla studentów, dla mnie zresztą też. Takie sprawy może budowały jakiś mur nieprzystępności między mną a studentami, ale dzięki takiemu egzaminowi niektórzy z nich zrozumieli, że chcę z nimi rozmawiać o tym, jacy są dojrzały – na tym mi najbardziej zależało. Nie na tym, żeby koniecznie kogoś „wykosić”, ale jeżeli student wykazywał się ignorancją merytoryczną, nie potrafił sięgnąć do swojej wiedzy z zakresu językoznawstwa, literaturoznawstwa i pokazywać, na czym polega jej zastosowanie w dydaktyce, to czasem skutek był negatywny i student nie zdawał. Przyznaję się, że może grzeszyłem w tych sprawach, może za dużo chciałem, żeby studenci się porządnie przygotowali do pracy. To jedynie może być moim

usprawiedliwieniem, że zawsze chciałem, aby z naszej Uczelni wychodzili ludzie świadomi i dobrze przygotowani do przyszłej pracy.

Bardzo dziękujemy Panu Profesorowi za rozmowę!

Rozmawiały Sylwia Kondek i Marta Plak